

Paweł Fleszar

Wyśniona jedenastka

Rozdział drugi
kwiecień 2016

I.

Makijaż oczu mógłby być. Rzeczywiście, wydają się nieco większe, jak na tym filmiku instruktażowym na You Tube. To jeszcze trochę szminki. "Skoro się słabo gra, trzeba przynajmniej dobrze wyglądać" - jak to Bożka mawia. Ale mnie tapeta nie pomoże, pomyślała.

- Aga, ogarnij się, wylaż stamtąd!! Ludzie mają potrzeby przed meczem! - Monika musiała być wkurzona, bo waliła w drzwi łazienki pięścią. Agnieszka zakładając nakolanniki i buty na ławeczce powtórzyła sobie, czego najbardziej nienawidzi w swojej twarzy. Za duże uszy, nos z garbkiem pośrodku i zadartym końcem, nierówne zęby. No i te cholerne piegi.

- Aż takich krótkich włosów nie rób. Przynajmniej dotąd. - Tu zdjęcie z wojska, mundur jednak robi swoje. - On nie jest zbyt ładny, ale strasznie fajny - dolatywały ją strzępki rozmów. Plus zwyczajowa porcja śmieszkania. Gdyby Nosacz wiedział, jak na ogół mobilizują się w szatni przed meczem, dostałby piany.

- No, dziewczuszki, wychodzimy na rozgrzewkę - Bożena jako kapitan miała za zadanie pilnować porządku.

Rytuał ćwiczeń rozciągających, odbijanie w parach, wreszcie siatka i atak. Na stromej trybunie hali przy Kalwaryjskiej przybywało widzów. Chcą zobaczyć, jak przegrywamy, przemknęło przez głowę Agnieszce. Głupia histeryczka - skarciła się od razu - w niedzielę po południu nie ma równoległe, tak jak w sobotę, dziesięciu innych wydarzeń sportowych, więc trochę więcej ludzi wybrało się tutaj. Zwłaszcza mężczyzn, lubiących, niezależnie od wieku, popatrzeć na ładne, młode laski.

- Witam państwa na meczu naszych Księżniczek, które czeka wielki bój o awans do finału I ligi siatkarek!! Naszym przeciwnikiem jest niezwykle twardy Metalowiec Toruń, ale drużyna Princess Kraków może skruszyć go nawet samym uśmiechem! - ich spiker nie potrzebował się rozgrzewać.

- Chciałabym zobaczyć, co on bierze - mruknęła stojąca za nią w kolejce Monika.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby świrował tak na czysto. Wystarczy mu, że bierze do ręki mikrofon - odparła Aga i obie parsknęły śmiechem. W zimie na jeden z meczów przyjechali rodzice, a tata - po tym jak tamten darł się w trakcie meczu - śmiał się, że nieodparcie kojarzy mu się ze sceną udawanego orgazmu Meg Ryan w "Kiedy Harry poznał Sally". Z ciekawości obejrzała film i stwierdziła, że Meg była jednak bardziej naturalna.

Metalowiec prowadził w play off 2-1, musiały wygrać dzisiaj i za parę dni w Toruniu. Jeśli się nie uda, to koniec sezonu i nie wiadomo, co dalej z klubem.

- Wychodzimy tak jak w poprzednich meczach. Pamiętajcie - serwujemy na Bystrowską. Troszku zagrywczki, troszku bloczku i żeby było sympatycznie - starszy pan powtarzał ten tekst od lat, ale zawsze je nim rozbawiał. Luz skończył się jednak szybko: Agnieszka raz przyjęła w trybuny, raz w ogóle, w ataku walnęła w aut. - Rany Boskie Święte, odbierz tę piłkę, na nogach się ugnij! - wściekał się Nosowski.

To nie był jej dzień. Tamte zagrywały prawie wyłącznie w jej strefę, Aga podbijała to nad siebie, więc ganiająca po boisku Bożena mogła wystawić tylko do niej. Nie zdobyła ani jednego punktu. - Nie no, nie no, nie... Przecież ciągniesz tę rękę jak kulawy nogę! - indyczył się Nosacz, kiedy rozbiła się o blok. Wziął czas.

- Szlag mnie zaraz z tobą trafi, no! Stoisz na boisku jak ten baran i żresz trawę! Skup się, przyjmij dokładnie. Na siatce uderz pół metra od linii bocznej, w ten sposób zahaczysz o blok. Młodziczkom to mówię i one rozumieją - jego żelazny repertuar akurat dzisiaj był usprawiedliwiony, bo na tablicy świeciło się już 5:15.

Po przerwie Agnieszka odebrała łatwy serwis na palce, ale na koniec wymiany nie zamknęła nadgarstka i walnęła nad rękami torunianek w ścianę, usytuowaną niedaleko za linią końcową. - Za kogo ty się masz!? Nie jesteś gwiazdą, jesteś szarą zawodniczką! - wrzeszczał na nią, kiedy schodziła z parkietu po zmianie. Nie przybiła mu piątki, trzepnęła tabliczkę z numerem za ławkę. - Jutro oddajesz wszystkie koszulki i dres! Bo my tak się bawić nie będziemy... - poleciało za nią do kwadratu rezerwowych.

Już chyba czwarty raz wyrzucił ją z klubu. Kiedyś rzeczywiście przyniosła sprzęt, a wtedy powiedział: "No, nie wygłupiaj się, trochę mnie poniosło". I sprawiał wrażenie, jakby uważał, że to wszystko załatwia. Ale jaki masz start do wyjaśniającej rozmowy z facetem, który jest prawie czterdzieści lat starszy od ciebie i któremu tyle zawdzięczasz? Ściągnął ją z Łańcuta, u niego uczyła się grać najpierw w drugiej, a potem pierwszej lidze. Zresztą przez dwa lata, gdy miały innych trenerów, rozumiała, że trzeba szanować oswojonego choleryka, który na co dzień jest sympatycznym wujaszkiem, a siatkówkę zna na wylot. Najpierw przyszedł do nich Kalicki - oblech rozbierający je wzrokiem. Nagrywał część ćwiczeń kamerą wideo, niby w celu pokazania im, jakie robią błędy. Podczas projekcji pomylił sobie płytki dvd i okazało się, że na tej są głównie ujęcia ich tyłków i biustów. Niektórym dziewczynom się podobał, więc sprawa się jakoś rozmyła, aż do afery z Moniką. Kalicki pchał się do ćwiczeń z nimi. W jeden z gierek trzy na trzy Monia krzyknęła do niego: "bierz!", ten się przewrócił, ale nie zdążył do piłki. Wstał czerwony, złapał ją za kucyk i wycedził: "Po zajęciach możesz mi nawet loda zrobić, ale tutaj to ja jestem dla ciebie pan trener". Już wcześniej rzucał teksty w stylu: "Jak tak dalej będzie, to daleko nie zajdziesz. Do Mediolanu z takim ryjem nie zajdziesz", a dyskusje przerywał hasłem: "Mordy w kubel i wyłączyć na parkiet". Najpierw zagroziły prezesowi strajkiem, jeśli nie zwolni tego chama, a kiedy twierdził, że obowiązują je kontrakty - upublicznieniem sprawy. Niestety, za Kalickiego przyszła w trakcie sezonu mniejsza świnią, za to większy pajac. Michał Dąbrowski uważał się za cudo, bo przez trzydzieści parę lat przekonywała go o tym mamusia i kolejne dziewczyny. Uwielbiał rozprawiać o swoich dokonaniach (tak to nazywał), choć nie osiągnął nic. Podlizywał się dzieciakom ze stron internetowych, więc średnio co drugi tydzień ukazywał się wywiad, który byłby chyba nieważny, gdyby Dąbrowski nie podkreślał w nim, z jak olbrzymim zaangażowaniem pracuje. Jeśli się czegoś podejmuje, to oddaje temu całe serce, bo chce, żeby jego zespół był jak najlepiej przygotowany. Bla, bla, bla. Wypełnianie elementarnych obowiązków było dla niego niemal bohaterstwem. Ale faktycznie był ambitny, motywował je, co przydało się po ostatnich przejściach, więc ostatecznie uplasowały się w czołowej czwórce. Na następny sezon było to jednak za mało; Dąbrowski zwyczajnie niezbyt wiele wiedział o siatkówce, bo nawet nie uprawiał jej w przeszłości, tylko piłkę nożną. Zawsze pozował na strasznego macho, ale co rusz okazywało się to podszyte histerią. Przegrały mecz w Łomży, od paru tygodni nie potrafił wyrwać ich z marazmu. W autokarze powiedział: "Jutrzejszy trening jest nieobowiązkowy, ale jeśli choć jedna nie przyjdzie, to podam się do dymisji, bo uznam to za wotum nieufności". Nie poszła żadna, głównie chyba z ciekawości, co tamten robi. A tu się okazało, że Michaszek jest trochę rozmiękły, bo kolejnego dnia stwierdził, że to była tylko podpucha dla sprawdzenia, czy drużyna jest skonsolidowana. Najbardziej żaloszny numer wyciął na pożegnanie. Udzielił wywiadu, że chciałby zostać na stanowisku: Kraków to jego miasto, Princess to jego klub, ma tu jeszcze wiele do zrobienia, czeka na ruch działaczy. Wkrótce wydało się, że już wtedy, od kilku dni, miał podpisaną umowę w Lublinie. To było bardziej zenujące, niż robienie z siebie durnia przez udawanie erudyty. Co jakiś

czas w wywiadach albo w komentarzach na fejsie wrzucał jakieś cytaty, przypisując je na ogół Woody Allenowi. A zwykle to nie słynny reżyser był ich autorem, wystarczyło odrobinę pogugłać.

Dzięki tym rozmyślaniom i gryzieniu końcówki warkocza, który zawsze zaplatała na mecz, spokojniej obserwowała, jak dziewczyny dostają równie konkretny łomot, co przed jej zejściem. Drugi set poleciał, tylko jeden został do końca sezonu. Maryśka narzekała na kolano. Zawsze bolało ją bardziej, gdy przegrywały. Nosowski był obrażony na cały świat, z nimi na czele: "Jak nie możesz wytrzymać, to się zmieńcie" - wpisał jej numerki do karteczki z ustawieniem dla sędziego i usiadł na krzeselku.

Agnieszka zrobiła parę wymachów i ustawiła się na pozycji do przyjęcia, znowu zaczynała w pierwszej linii. Bystrowska coś pokazywała w jej kierunku palcami. Zawsze była zaczepna i głupia, a jej ksywę, "Bystra", dziewczyny wymawiały z ironicznym akcentem. Klaudia Wiśniowska zrobiła nawet na FB serię memów o niej, wykorzystujących dowcipy o blondynkach (największa beka była z: "jak Bystra zdobywa dżem? - obiera pączki"). Sędzia zauważył jej zachowanie i zawołał do siebie kapitana Metalowca, zwalistą i pocziwą Sowę, żeby przekazać upomnienie.

- Hej, laseczki, gramy jeszcze! Ogień! - Bożena skupiła je w kółeczku. A tu nagle - huups!!.

Potworny huk. Leży zbudowana z rurek platforma, obok niej Sowa, dalej krzyczący i zwijający się z bólu sędzia. Zbiegły się wszystkie. Sowa trzymała się za kolano, ale nawet nie jęczała, więc raczej nic poważnego się jej nie stało, za to Kazimierz Będkowski darł się tak, że musiał złamać prawą rękę, którą przyciskał teraz do tułowia.

- Proszę, żeby drużyny rozeszły się do swoich ławek - drugi arbiter odganiał je, podczas gdy ratownik medyczny pochylał się nad Będkowskim, a maser i trenerzy Metalowca - nad Sową.

- Co się właściwie stało?

- Ja widziałam! Ja widziałam! Sowa wyszła na trzeci stopień tej wieżyczki i złapała za barierkę, którą sędzia zamyka za sobą - rozemocjonowana Weronika, ich druga rozgrywająca, połykała końcówki wyrazów. - I ta barierka się otworzyła, i ona poleciała do tyłu, ale cały czas trzymała tę metalową rurkę, i pociągnęła wieżyczkę za sobą. Dobrze, że w końcu puściła barierkę i okręciła się w powietrzu, bo to wszystko razem z sędzią spadłoby na nią.

Będkowski siedział na krzeselku pod ścianą, czuł się już chyba lepiej. Obok trwały jakieś dyskusje, dołączyło dwóch facetów, którzy zeszli z trybuny. Jeden bodaj gwizdał Plus Ligę, widywała go w telewizji. Bożena jako kapitan poszła się dowiedzieć, co się dzieje.

- Jeszcze chwilę poczekają i wznowią mecz. Może Będkowski lepiej się poczuje, bo jest szansa, że nie złamał ręki. Jeśli nie, to zastąpi go drugi sędzia. A drugiego mógłby zastąpić ten, co przyszedł, tylko nie ma stroju - relacjonowała.

- Dobra, grzać się dziewczyny - wypędził je na parkiet Nosowski.

Przez te wszystkie tragicomiczne wydarzenia wyczyściły sobie głowy, z tamtych chyba zeszła koncentracja. Agnieszka natomiast przeżyła wręcz iluminację; piłka sama odbijała się od niej w przyjęciu i obronie. W ataku skakała jak ta rudowłosa siatkarka z japońskiej bajki, na którą nie załapała się w Polonii 1, ale siostra, Ola, która sama trenowała siatkę, parę lat później podsunęła jej kilkanaście odcinków nagranych na kasecie wideo. I Aga, choć zawsze bardziej interesowała się futbolem, zapisała się na zajęcia siatkarskie do MKS, idąc bardziej śladem właśnie You, Kibi, Nami i Eri, niż siostry.

Wygrały dwa sety, w tie-breaku tamte stawiały się mocniej. Miała jednak to wrażenie pewności, jakby transu, które czasem ją nawiedzało. Sala robiła się ciasna, a ona wyczuwała wszelkie

odległości i płaszczyzny.

- Bozia, dawaj wszystko do mnie - szepnęła do przyjaciółki, po przerwie, którą wziął Nosacz, kiedy straciły trzy punkty z rzędu i zrobiło się 11:11. Jej ulubiona rozgrywająca rzeczywiście posłała do niej cztery wystawy; ostatnią wymuszoną, zupełnie byle jaką, na piąty metr, ale Aga trafiła w linię boczną. Euforia.

- Można porozmawiać z bohaterką spotkania? - podszedł do niej jakiś gość z notatnikiem. Wysoki, w trudnym do określenia wieku. Przyjemny, "radiowy" głos, ładne oczy, choć nie przystojniak.

- Bohaterka tym razem nie przyszła. To sędzia z Sową odwrócili mecz - niekiedy trudno jej było wytłumaczyć nawet sobie, dlaczego reagowała kpinkami na sympatyczne zachowania ludzi.

- Z perspektywy trybun inaczej to wyglądało. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Maciej Porzyński z "Echa Małopolski". To znaczy z "Kuriera Krakowskiego".

- Nie jest pan pewien?!

- Jestem pewny, że nie jestem pan. Proszę mi mówić Maciek.

Akurat, od razu, pomyślała. A głośno spytała: - To jak z tą gazetą?

- To jedno i to samo. Dwa tytuły, w większości ta sama treść w trochę różniącej się szacie graficznej. A ja jestem u nich redaktorem sportowego serwisu internetowego, przyszedłem na mecz w zastępstwie. Mam szczęście dzisiaj.

II.

Poszły na zwycięskie piwo do położonej niedaleko hali, przy Kładce, Introligatorni, ale większość dziewczyn szybko się wykruszyła. Monika namówiła Agnieszkę i Bożenę na drugą rundę w "Knajpce za rogiem", gdzie była kelnerką i miała zniżki. Normalnie było tu ciężko o miejsce, ale po północy z niedzieli na poniedziałek zrobiło się luźno. Siedziały przed swoimi somersby, przy oknie na Stolarską. Monia to była fajna, szczerza dziewczyna, ale nie dało się jej lubić w zbyt dużych dawkach. Niesłowna, zmieniała zdanie albo zapominała o obietnicach. Nawet na wizytę w tej knajpie umawiała się z nimi już dwa razy w ciągu trzech miesięcy, od kiedy zaczęła tu pracę (co jak na nią i tak było znaczącym okresem zatrudnienia, a niewiele dłuższe staże miała na trzech kierunkach rozpoczynanych i porzucanych studiów). No i ciągle przydarzały się jej absurdalne bądź dramatyczne przygody miłosne. "Czy ona jest zboczona, czy zdesperowana, że łapie się za takie egzemplarze?" - rzuciła kiedyś zirytowana Bożka.

- Mój były nie może się pogodzić, że już nie chcę spotykać się z nim, nęka mnie sms-ami, a trzy tygodnie temu, w sobotę, napadł na mnie i interweniowała policja - opowiadała Monika z przejęciem. - Poszłam w następny poniedziałek na komisariat, założyłam sprawę i w sumie od tamtej pory już się do mnie nie odzywa. Pewnie kazali mu się ustosunkować do moich zeznań i się posrał, biedaczek.

- To ten gość, który przychodził po ciebie na treningi w styczniu i lutym? - Aga uznała, że trzeba okazać zainteresowanie koleżance, która ma tak traumatyczne przeżycia za sobą. Choć nigdy nie przedstawiła im go. Pewnie za krótko to trwało...

- Tak to ten. Ojciec w więzieniu, synek studiował chwilę, ale przerwał i teraz stoi w weekendy na bramkach w knajpach przy Rynku. Tam mnie zresztą złapał. Przewalone, wdepnęłam w straszne gówno i żadnej dziewczynie tego nie życzę. Jak można być z osobą która używa siły wobec słabszego. Ja właśnie w takim związku tkwiłam, niestety, jednak postanowiłam zawalczyć o siebie i nie dać się zastraszyć, więc wyładowałam na policji...

- I tak dobrze się skończyło. Ciesz się, że jeszcze żyjesz, bo są takie, które nie miały tyle szczęścia -

Bożka postanowiła jej przerwać, widząc, że Monia zaczyna już kręcić się w kółko. - Słyszałyście, że w Krakowie giną kobiety w niewyjaśnionych okolicznościach? Zresztą nie tylko kobiety. Podobno kilkanaście lat temu wyłowili z rzeki, tam koło ciebie, Aga, na Dąbiu, gościa, o którym do dzisiaj nie wiadomo, kim był.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy?!

- A bo niedawno zarywał mnie w dyskotecę policjant z kryminalnej. Nie dość, że twarżel, to jeszcze słodziak. Opowiadał właśnie takie historie.

- No i co?

- Cierpi na odwieczny problem wszystkich fajnych facetów. Jest żonaty.

- Standard. Ale co z tymi zaginięciami?

- Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wyłowili z Wisły skórę i nogę dziewczyny, która zaginęła pół roku wcześniej. I do dzisiaj nie znaleźli reszty.

- Nie strasz!

- Możecie sobie sprawdzić, pisali o tym w necie. Policja ma rozkminy, czy ciągle nie działa ten sam morderca. Albo jakiś inny. Bo kolejną dziewczynę znaleźli parę miesięcy temu na wale, pod mostem kolejowym, niedaleko Krakowskiej Akademii. Miała szyję okręconą drutem. A najbardziej niesamowita sprawa jest z taką, co zniknęła z domu. Mieszkała na Grzegórkach, w tym wysokim bloku przy Fabrycznej. Obiad stał na stole, przygotowany do jedzenia, nie zabrała żadnego płaszcza, wyjściowych butów.

- Skąd się biorą tacy porąbani goście!?

- Spytaj raczej, gdzie są w tej chwili?

- W sam raz podsumowanie w momencie, gdy każda z nas będzie po północy sama wracać do domu...

- Nie przesadzaj, Aga, cała brygada ludzi pojedzie teraz nocnym, a z przystanku masz blisko. Tak samo jest z Monią i ze mną. Powiedz lepiej, kim jest ten dziennikarz, który cię zaczepiał po meczu. Całkiem niezły.

- Bo ja wiem, czy niezły? Dosyć miły.

- Gapił się na ciebie, jakby chciał cię schrupać.

- Mnie przypomina tego dietetyka, którego Nosacz przyprowadził dwa tygodnie temu na trening - odezwała się Monika. - Nie było cię, Aga, bo miałaś coś na studiach. Co się tak zamyśliłaś?

A jej uwaga, sprowokowana tematem zaginięć, uciekła do Oli, której nie widziała już siedem lat.

- O właśnie, miałam nawet pytać, czy mówił coś ciekawego. Doradzi, jak schudnąć? - zażartowała nadrabiając miną.

- Dał nam tabele, do których kazał wpisywać, co zjadłyśmy przez całą dobę, łącznie z wagą produktów, i obliczać, ile to kalorii. Chyba go pogięło! Brakuje mi czasu w ciągu dnia, żeby spokojnie obiad zjeść, to kiedy mam mu te tabelę wypełniać?! - zirytowała się Bożena, która skończyła już studia na Uniwersytecie Pedagogicznym i od ubiegłej jesieni pracowała w podstawówce w Czyżynach.

- A ja gdzieś zgubiłam tę tabelę - skwitowała Monia.

Sprężystym krokiem szły przez Floriańską. Była 1:20, za dziesięć minut odjeżdżały nocne tramwaje spod dworca. Ludzi było jeszcze całkiem sporo, zaczepiali ich naganiacze z nocnych klubów. Z naprzeciwka nadjechała kobieta na wózku, ciągniętym przez dwa białe psy. To husky, czy malamuty? - zastanawiała się leniwie Agnieszka. Przed przejściem podziemnym rozdzieliły się.

Tamte poszły w lewo na "64", a ona wdrapała się po schodach na przystanek przy Westerplatte. Usiadła w "62", wyciągnęła smartfona. Na FB zaproszenie od jakiegoś Dżordż Cluni. WTF? Taki żarcik? Ale to nie George Clooney jest na zdjęciu? Stał przed stadionem, podpis "Z miną właściciela", a twarz jej niedawnego znajomego, tego redaktora. Kliknęła "potwierdź", zaczęła przeglądać galerię, ale za wiele tam nie było.

Tramwaj z jazgotem wykręcał w Aleję Pokoju na Rondzie Grzegórzeckim. Przebudziły się dwie narąbane lalki, w szpilkach i krótkich rozkloszowanych spódniczkach, które dotąd spały - jedna oparta głową o szybę, druga na jej ramieniu.

- No, gdzie my jesteśmy, Madziu, no, gdzie? - histerycznym głosem odezwała się ta od okna.
- Spieprzyłam, no, spieprzyłam tę znajomość... - płacząco, z nutką niedowierzania, Madzia mówiła sama do siebie.

III.

- Leo, pokaż się - jęknęła cichutko Aga. Dziewczyny przysypiały lub słuchały muzyki w autokarze, więc nie słyszały, bo znowu byłaby szydera. Jak kiedyś, gdy w hotelu przed meczem w Poznaniu oglądała Gran Derbi w koszulce Barcy, którą przywiozła sobie parę lat temu z wycieczki. Co im będzie tłumaczyć, i tak nie rozumieją.

A tu Atletico prowadziło 1:0 po strzale Griezmana, osiem dni temu w Barcelonie było 2:1, więc dzisiejszy wynik oznaczał wylot z Ligi Mistrzów. A najgorsze, że Blaugrana kompletnie nie radziła sobie z pressingiem przeciwników, zaczynającym się już przy jej polu karnym. Dodatkowo ją irytowało, że transmisja, oglądana na tablecie, "wyhakowana" przez jedną z tych pojawiających się i znikających stron internetowych, ciągle się przycinała.

Czarny dzień. W Toruniu przegrały 1:3 i zakończyły sezon. O trzecie miejsce nie zagrają, bo - jak stwierdził prezes - szkoda kasy na wygłupy. Inna sprawa, że jakkolwiek sukces nic im nie dawał, bo w tym sezonie nie było awansów do Orlen Ligi. Ale od początku im powtarzali, że celem jest finał, co będzie miało znaczenie propagandowe, gdyby w najbliższych latach udało się zebrać fundusze i złożyć aplikację do ekstraklasy. No to się pokazały.

- Idea zamkniętej ligi, ograniczanej wymogami finansowo-organizacyjnymi, nie jest taka zła. Po prostu u nas zrobiono z niej karykaturę - perorował prezes siedzący przed nią z Nosaczem. - Na pewno nie jest niesportowa. Tak funkcjonują w Stanach NBA, NFL, NHL i są to najlepsze widowiska na świecie, z najbardziej zaciętą rywalizacją. Wysoki budżet gwarantuje dobre zawodniczki, te zapewniają wysoki poziom, który przyciąga kibiców do ładnej, nowoczesnej hali. Tak to powinno funkcjonować. A u nas budżety są fikcyjne, kluby składają jakieś dmuchane oświadczenia sponsorów, że "są gotowi" wyłożyć jakąś kwotę. A w rzeczywistości przeznaczają na płace połowę z tego, zatrudniają parę niezłych dziewczyn, a poza tym "wypełniacze składu".

Słuchała jednym uchem, patrząc jak męczą się jej chłopcy. Po godzinie strefa Atletico trochę się cofnęła, Barca częściej była pod ich bramką, ale niczego to nie przynosiło. Co tam się dzieje? O matko... Karny. Na małym ekranie nie dało się zobaczyć dokładnie, ale piłka przy podaniu odbiła się od przewracającego się Andresa i sędzia stwierdził, że to ręka. Pokazał mu też żółtą kartkę, a tamte szuje jeszcze długo przekonywały go, że powinien dać czerwoną. Wreszcie Griezmann kopnął po ziemi, ter Stegen go wyczuł, rzucił się we właściwy róg, ale piłka minęła jego palce i wpadła tuż przy słupku. Agnieszka ukryła twarz w dłoniach. Zostało parę minut, gdyby jeszcze udało się strzelić, to byłaby dogrywka.

Szkoda łudzić się nadzieją. Po niepowodzeniu w Toruniu wszystko przyjmowała z fatalizmem.

Zaczęły dobrze, w pierwszym secie grały ciągle drugą połówkę niedzielnego meczu. Potem jednak coś się zacięło; sędzia w krótkim okresie odgwiżdżał Bożce trzy podwójne odbicia, czym kompletnie wyprowadził ją z równowagi. Wystawiała niedokładnie, trudno było z tego atakować przy podwójnym bloku rywalek.

No i tu też koniec. Czyżby Madryt miał rządzić w tej edycji Ligi Mistrzów?

- Naśmiewają się u nas z piłki nożnej, że to kryminogenna dyscyplina sportu, a jest tam mnóstwo zdrowych uregulowań, których brakuje w siatkówce, albo zostały w niej kompletnie rozłożone - prezes pewnie będzie galopował na tym koniu do samego Krakowa. To i lepiej, przynajmniej nie smędzi im o zmarnowanej szansie.

- Wie pan, siatkówka żeńska u nas to w ogóle koszmarna nisza - basował mu Nosowski. - Nasza, pierwsza liga się jakoś broni, są tu elementy profesjonalizmu. A niżej napchało się się jakichś prawdziwków, byłych piłkarzy ręcznych, nożnych, koszykarzy, którzy w swoich dyscyplinach nie mają racji bytu ze względu na niekompetencję. Nadają się do koszenia trawników. W męskim sporcie nie utrzymałby się trzech dni, bo drugiego dostaliby w pysk od kogoś z zawodników, gdyby zachowywali się wobec nich tak jak mogą się zachowywać w stosunku do dziewczyn. Wśród tych wynurzeń Aga usnęła, kiedy akurat naśmiewali się z jakiegoś wspólnego znajomego, który został szefem miasteczka MOSiR, ale jest tak zakompleksiony, że - aby go dowartościować - nazwali jego stanowisko "prezes", a nie "dyrektor", jak prawie wszędzie.

IV.

Niby zaczął się nowy dzień, ale nie skończył wczorajszy pech. Obudziło ją jakieś zamieszanie, okazało się, że złapali gumę. Zapasowe koło też miało jakiś feler, zanim sobie ze wszystkim poradzili, do Krakowa wjeżdżali świtaniem. Wysadzili ją przy Centrum Kongresowym, gdzie udało się jej złapać ostatni nocny autobus do Huty. Od przystanku położonego naprzeciwko pętli tramwajowej na Dąbiu, czekał ją jeszcze kilkusetmetrowy spacer ulicą Widok do bloku położonego przy miniaturowym parku, nad Wisłą. Kiedy znalazła się przy salonie fryzjerskim "Monika", z prawej strony chodnikiem nadjechało dwóch rowerzystów w maskach antysmogowych i ciemnych okularach. Po co im te okulary, przecież ledwo się rozwidniło i słońce w ogóle nie razi, pomyślała ospale, w tym sam tempie odsuwając się na trawnik, bo zejście na jezdnię było zatarasowane zaparkowanymi samochodami.

Rowerzyści jechali teraz jeden za drugim, żeby zrobić jej miejsce. Kiedy mijal ją pierwszy, poczuła gwałtowne szarpnięcie. Leciała do tyłu za torbą sportową, którą pociągnął, i widziała, jak ten drugi zatrzymuje się, zarzucając przednim kołem. Upadając uderzyła głową o betonową odbudowę kosza na śmieci i zobaczyła biały rozbłysk. Ten pierwszy wyszarpywał torbę, drugi pochylał się nad nią i sięgał do szyi.

- Co robicie! - jej wrzask mimowolnie przeszedł w przeraźliwy pisk.

- Ratunku! Bandyci!! - jak echo odpowiedział jej inny krzyk i psie ujadanie.

Napastnicy jakby się przestraszyli. Ten, co już zaczynał ją dusić, zerwał z niej tylko małą, sportową torebkę, którą miała przewieszoną przez głowę. Wskoczyli na rowery i odjechali.

Szczekanie przybliżyło się, najpierw zobaczyła jasnego yorka, po chwili rozległo się sapanie i pojawił się starszy, siwy mężczyzna.

- Tylko spokojnie, panienko, nic się nie stało. Zaraz pomogę ci wstać - dreptał obok zafrasowany, dłonią co rusz łapał się za klatkę piersiową na wysokości serca.

Piesek podbiegł i polizał ją po twarzy. Wtedy zaczęła rozpaczliwie płakać.

V.

- Siemanko, Aga, kopę lat. Chyba jeszcze przed świętami się widzieliśmy - wychodząc spod Ronda Mogińskiego spotkała Bartka, kolegę z roku na turystyce międzynarodowej. - Gdzie się obracałaś?

- No, heja, Fazi. Wiesz, jak to jest, sezon się skończył, więc bajlando - odbierający zeznania policjanci nie nakłaniali jej do tego, ale postanowiła nie opowiadać o napadzie. Nawet Bożce jeszcze się nie zwierzyła. Siniak na twarzy przyblakł, ukryła go pod pudrem, kilka innych zasłaniały ciuchy, pod włosami nie widać było pozostałości po wielkim, początkowo, guzie z tyłu głowy. - A ty jak Wielkanoc spędziłeś? Oblali cię?

- Nie, nikt mnie nie wyśmigusował, więc sam dumnie załamę pałę wyborną gruszkówką. Tradycja chyba umiera w narodzie. Pamiętam jeszcze cytrynki do psikania wodą, butelki z płynów do mycia naczyń z dozownikami, wiadra, no i moc biegu interwałowego, czyli najskuteczniejsze sposoby na pokościelny podryw białogłowy.

- Młodzież zrobiła się leniwa. Całą energię zużywa przy konsoli.

- Nie gadaj jak ciotka Agnieszka. A propos młodzieżowych pasji, to wiesz, że Harry Potter nie dlatego był przesadzony, bo latały smoki, ale dlatego, że rudy miał dwóch przyjaciół? Bartek był jej bodaj najlepszym kumplem na studiach. Przynajmniej wśród facetów. Bardzo sympatyczny, uwielbiający opowiadania o imprezach (czy raczej, w jego przypadku, pijatykach), a przy tym zaskakująco dużo umiejący i chętnie służący pomocą. Niekiedy jednak zachowywał się jak szczył z podstawówki, ciągnący za warkocz dziewczynę, która mu się podoba.

- Robisz postępy, dotąd szczytem twoich możliwości było "na dziesięciu rudych jest jedenastu fałszywych" i "rudy, gdy mówi dzień dobry, to już kłamie". Myślałam, czy się nie przefarbować, ale zrezygnowałam, żeby nie psuć ci zabawy.

- I dobrze, w tym miedzianym kolorze bardzo ci ładnie - z hukiem wypadł z roli. Chwilami nie udawało mu się zamaskować słabości do niej. Ona jej nie odwzajemniała, sięgał jej do ucha. - Naumiałaś się?

- Całkiem, całkiem. Zresztą wiesz, że egzamin u Majkowskiego to głównie okazja do przelansowania się w białej bluzce z koronkowym kołnierzem i długiej spódnicy, których normalnie nie zakładałam od łańcuckich czasów niedzielnych wyjść na mszę.

Walorem egzaminu było to, że po raz pierwszy po napadzie odważyła się na oddalenie od domu bardziej niż do mieszczącej się obok apteki. A korzyść z napadu wyciągnęła taką, że porządnie się przygotowała. Uwielbiała zresztą "zerówki" u Majkowskiego, z którym mieli już trzeci przedmiot. Przyjmował w swoim gabinecie, siedziało się na pufach przy niskim stolczku do kawy. Kiedy mówiłaś, siedzący naprzeciwko pyzaty wykładowca uśmiechał się, błyskały mu okulary, a głową kiwał tak radośnie, aż budził obawy, że za chwilę spadnie z tego pufa. To fantastycznie napędzało, dodawało pewności siebie. Człowiek przypominał sobie wszystko, co tylko przeczytał. A jeszcze przedterminy robił w grudniu i kwietniu. Super facet!

Dzisiaj scenariusz był podobny, z tym że wychodziła z piątką, a nie plus czwórkami. Co nie było dla niej zbyt ważne. Coraz częściej miała wątpliwości, czy po skończeniu studiów nie będzie robić tego samego, co robiłaby i tak, bez magisterki. Jak przedłużenie jej myśli, na końcu korytarza pojawiła się spóźniona Anka, coraz lepiej odnajdująca się w karierze modelki. Usłyszała od rodziców, że jak nie obroni dyplomu, to nie puszcza jej na stałe z domu. U niej tata z mamą najwięcej uwagi poświęcali coraz bardziej szalejącemu młodszemu bratu, Karolowi, ale zawsze dopytywali o stopnie z egzaminów. Ucieszą się.

- Cześć, Aga, ty już po? Ja dzisiaj chyba nie zdam, nic mi się nie układa. Trudne były pytania? Chyba zaraz się rozpłaczę ze złości - trąknęła Ania, całując ją w policzek i nie czekając nawet na odpowiedzi. - Wojtek się uparł, że mnie odwiezie i prawie półtorej godziny jechaliśmy z Bieżanowa. Cholerne korki są przez budowę tego wiaduktu kolejowego nad Wielicką, czy jak się to tam nazywa. I jeszcze dwa wypadki. Już miałam wysiąść i pojechać dalej tramwajem, ale zostałam, żeby się Wojtuś nie obraził. A i tak na koniec się pokłóciliśmy, kiedy zaczęłam narzekać, że na pewno nie zdam, bo jeszcze miałam się pouczyć na miejscu.

Jej związek z Wojtkiem był tyleż burzliwy, co drobiazgowo relacjonowany wszystkim bliższym znajomym.

- To jest jakiś dramat. Wszędzie. Jechałam z Dąbia tramwajem i poszło mi dosyć gładko, ale sznur samochodów zaczynał się od górki przy Plazie i tak stały do Ronda Kotlarskiego. Nie przejmuj się, docent Majkowski w przeciwieństwie do ciebie ma świetny nastrój i ani mu w głowie kogoś oblewać. Na razie nikogo ta przykrość nie spotkała. Ci, co bredzą, dostają tróje.

Podszły razem do skupionych w grupce dziewczyn, z których część była już po odpytywaniu, część czekała jeszcze na swoją kolej, ale chyba nie rozmawiały o prognozowaniu w turystyce.

- Znaleźli ją podobno przy Stopniu Dąbie, tam gdzie woda przepływa przez te śluzy i spada z góry. Tam się zatrzymała - opowiadała Kaśka. - Jeszcze nie ma nic o tym w mediach, ale ta moja koleżanka ma wujka w policji.

- No dobra, nawet jeśli to prawda, nie musieli jej zamordować. Może się utopiła - Zuza nie lubiła jej i chyba głównie z tego powodu miała odmienne zdanie.

- Tak, ty wiesz najlepiej... Na głowę włożyli jej siatkowy worek, taki jak się nosi ziemniaki albo warzywa. A sznurek od tego worka miała zaciśnięty na szyi.

Agnieszce coraz mocniej dudniło w głowie. Pewnie to ją by zdejmowali z zapory, gdyby nie cierpiący na bezsenność staruszek wyprowadzający psa.

VI.

- Ludzie, skąd wyście się wzięli, kto was wychowywał? Nie nauczyli was, że trzech rzeczy w życiu się nie robi: nie mówi nic złego o żadnej matce, nie sypia z żonami kolegów i nie kibicuje niemieckim drużynom?

Agnieszka wypluła na stolik część piwa nabranego właśnie do ust. Siedząca obok Bożena w paroksyzmie śmiechu padła jej w objęcia. Siedzący przy barze, lekko napity, malowniczo ubrany (ciemnozielony, długi szal, którego jedna końcówka majtała się po podłodze, szerokie rękawy brązowej sztruksowej marynarki, pomarańczowe spodnie) facet zaorał właśnie tym tekstem czwórkę białych kołnierzyków, którzy przy stoliku obok głośno pomstowali, kiedy Saul zdobył prowadzenie dla Atletico. Jeden z nich niemrawo protestował, że Niemców w Bayernie jest niewielu, "poza tym Lewandowski", lecz tamten zlekceważył go już zupełnie.

Od początku tygodnia wznowiono treningi w klubie i Agnieszka na nie chodziła. Uznała, że jeśli ma przystosować się po wypadku do normalnego życia, musi to zrobić właśnie w ten sposób - wracając do codziennej rutyny. Choć z zachowaniem ostrożności. W poniedziałek Nosacz odwiózł ją do domu samochodem, wczoraj Bożka wracała razem z nią tramwajem i odprowadziła pod blok. Od niechcenia zaproponowała dzisiejsze wyjście po zajęciach do piwnicznego pubu przy Bocheńskiej, niedaleko hali. Wszyscy znali jej piłkarską pasję, ale przyjaciółka wiedziała też, że smak meczu dla Agi to oglądanie go wśród żywo reagujących kibiców. Jeśli nie na stadionie, to

przynajmniej w knajpie. Uznała, że półfinału Ligi Mistrzów nie powinna spędzić przed laptopem. Bozia była taka kochana!

- Kogo widzę. Twarde jądro zespołu Princess - obok ich stolika stał rozpromieniony ten dziennikarz z meczu sprzed niespełna trzech tygodni. Nie widziały nawet jak wchodził, co gorsza Agnieszka zapomniała jak się nazywa. Na fejsie miał przecież tę kretyńską ksywę: Cluni.

- Nie może pan wypowiadać obok siebie słów "twarde" i "Princess". Wafelki Princesski rozpływają się w ustach. Jeszcze się sponsor dowie i wszyscy będziemy mieli przechłapanie. Pan za mówienie, a my za słuchanie - niekiedy pogoń za dobrą ripostą wiodła ją na takie właśnie manowce dowcipu.

- Maciek, a nie pan. Mówiłem już kiedyś. A poza tym ten sponsor coraz mniej interesuje się siatkówką. Ponoć przenosicie się pod skrzydła innego mecenasa, a nawet nowego klubu.

Spojrzały po sobie z Bożeną. Prezes do tej pory unikał wszelkich rozmów o przyszłości. "Będzie na to czas w przyszłym miesiącu i tak macie kontrakty do końca maja" - robił uniki. Trener też wyglądał na niezorientowanego.

- A może, Maćku, chciałby pan się przysiąc. Brakowało nam męskiego towarzystwa - znacząco powiedziała Bożka.

- Chętnie, tylko przyniosę sobie coś do picia. - Usłyszały, że zamawia sok bananowy zmieszany pół na pół z sokiem z czarnej porzeczki. Nie zrażony ironicznym prychnięciem barmana wrócił uśmiechnięty do ich stolika. - Muszę jeszcze odprowadzić samochód do domu, a to jest całkiem dobre. Chcesz skosztować? - zauważył, że Agnieszka przygląda się z zainteresowaniem mętnej cieczy w jego szklance.

- Nie, dziękuję. I tak pewnie zsikam się z wrażenia słysząc nowiny, które przynosisz. - Niemal od razu zaklęła w duchu. To było niesmaczne.

- Trochę przypadkiem to wypłynęło. U nas w gazecie jest monokultura futbolowa, jak zresztą prawie wszędzie. Ale ten nowy sponsor ma coś wspólnego z handlem stalą, współpracuje z Hutą. I gdzieś tam, na osiedlu Zgody, w hali szkoły pożarniczej, funkcjonuje jakiś klub siatkarski?

- No, jest taki, dziewczyny same sobie założyły z trenerem. Marabut chyba. Ale to trzecia liga. Nie miałyśmy z nimi większych kontaktów.

- No to teraz będziecie miały styczność bezpośrednią. Oba kluby się połączą, wasz wniesie w aportie licencję I-ligową i siatkarki, a tamten pieniądze, bo mają jakieś personalne związki z tą firmą stalową. Niektóre rzeczy słyszałem trzy po trzy. Chyba będziecie grać w I lidze na "Suchych Stawach", ale zostanie też drużyna trzecioliigowa, żeby nikogo nie wyrzucać.

- No tak, a ciekawe, ilu dziewczyn się pozbędą od nas ze składu. Jak pieniędzy będzie dużo, to sobie ściągną lepsze zawodniczki. A ja już nigdzie nie wyjadę, szkoła mnie trzyma - Bożka była na ogół pogodna, ale czasem lubiła się martwić na zapas.

- Waszej dwójki to raczej nie dotyczy. Z tego co widziałem, jesteście tam najlepsze.

- Jak się uda... - zawiesiła głos Aga.

- Co nie dogramy, to dowyglądamy. Dobrze zrozumiałam, że przyjechałeś tu samochodem? -

spytała Bożena. - Może podrzuciłbyś potem koleżankę do domu? To tu niedaleko, na Dąbie, ale ona z pewnych powodów nie powinna chodzić sama po zmroku. Ja już chyba nie wysiedzę do końca, muszę przetworzyć te informacje w samotności.

- Spoko. Są jeszcze taksówki - Agnieszka zdawała sobie sprawę, że tamta nie może wytrzymać, aż nie podzieli się wieściami z resztą dziewczyn.

- To żaden problem, chętnie cię odwiozę. Muszę jeszcze wstąpić do redakcji, obok Błękitka, więc mam po drodze.

Kiedy Bożka już się zdematerializowała, Maciek przesunął się z krzesłem i siedzieli obok siebie na wprost podwieszzonego u sufitu telewizora. Bawiła się pustawym kuflem. Na lewym nadgarstku miała wytatuowane "L'amitie", a na prawym zarys kontynentów z rozłożonej mapy świata.

- Brakuje ci chyba Australii? - spytał, kiedy pochwyciła jego wzrok.

- Bo do Australii chcę pojechać. I do Nowej Zelandii. Postanowiłam, że jak już je odwiedzę, to pójdę gdzie trzeba i każę dorysować.

- Brzmi dobrze.

- Jak każde często powtarzane łągarstwo - uśmiechnęła się kpiąco. - W tym mam już wprawę, bo wszystkim tak odpowiadam. Prawda jest nie tyle banalna, co żałosna. Poszłam tam z koleżankami po imprezie, na której postanowiłyśmy, że zrobimy sobie dziury. Tatuażysta miał dziury w mózgu od narkotyków, a poza tym był całkiem zwyczajnie pijany, więc zapomniał. Zorientowałam się przed wyjściem, że mapa nie jest pełna, ale też nie byłam zupełnie trzeźwa, a na dodatek zaczęłam mieć wątpliwości, czy dobrze robię, więc zwiałam.

Parsknął śmiechem. - A L'amitie to przyjaźń, tak?

- Tak, uważam, że jest najważniejsza, także w związkach. Miłość bez niej nie ma szans.

Twarz mu zmierzchła, ale dopiero to, co powiedział zabrzmiało, jak zgrzyt żelaza po szkłe.

- Piramidalna bzdura. Wygląda na jeden z tych obrazków z facebook'a opatrzonych pseudofilozoficznym cytatem.

- Może i nawet widziałam to na fejsie, ale tak się składa, że napisał to Fryderyk Nietzsche: "To nie brak miłości, ale brak przyjaźni czyni małżeństwa nieszczęśliwymi" - wyrecytowała wkurzona.

- Tym gorzej dla niego, to nie pierwsza jego poroniona koncepcja. Ja uważam, że w miłości kluczowa jest sympatia i szacunek. Nie sprawia się drugiej osobie przykrości, bo się ją lubi. Nie prowadzi się z nią gier, nie wciąga się w próby sił typu: "kto okaże, że mu bardziej zależy, ten będzie na gorszej pozycji", bo się ją szanuje. A nauczyć się tego można na co dzień, obcując z ludźmi, do których nie żywi się gorętszych uczuć. - I tak jak nagle się zapalił, tak gwałtownie zgasł.

- Przepraszam, to było za ostre. Przypomniała mi się dawna historia. Ale to zamknięta przeszłość, po prostu popiół się uniósł.

- Luz, nie zdążyłam się obrazić.

- Emocje, jak przy obieraniu ziemniaków. Strasznie ich duszą tym pressingiem - zmienił temat, patrząc na ekran.

- Można znaleźć w tym swoiste uroki.

- Nie myślałaś o jakimś futbolowym motywie tatuażu, przy twoich zainteresowaniach?

- Lubię obejrzeć jakiś mecz lub dwa. Ewentualnie trzydzieści. Ale żeby sobie tatuować piłkę, albo coś o Barcy, którą uwielbiam? Pomyślę.

- Mes que un club i tak dalej?

- Przypuśćmy, dajmy na to.

- Ściema. Co to niby ma znaczyć? - ciągle jednak był na wysokich obrotach. - "Więcej niż klub" może mówić o sobie Athletic Bilbao. Oni rzeczywiście są symbolem swojego regionu i kultuwują jego odrębność. Od ponad stu lat zatrudniają tylko piłkarzy-Basków lub tam wychowanych. I nigdy nie spadli z ligi, podobnie jak te komercyjne przedsiębiorstwa, Real i Barcelona.

Faceci są dziwni. Nie wystarcza im, że czymś się pasjonują, że coś im się podoba. Muszą wiedzieć

o tym wszystko na kilkadziesiąt lat wstecz. Nie mają wystarczającej przyjemności z oglądania mistrzostw Europy w 2016 roku, jeśli nie wiedzą, kto strzelił gola w finale ME 1980. I na tej samej zasadzie chcą wszystko wiedzieć o tobie, o twoich dawnych związkach. I to co przeżywają obecnie cały czas muszą porównywać z przeszłością, żeby się przekonać, czy na pewno są szczęśliwi. Co za chore kompleksy. Ten przynajmniej ma odwagę nie zgadzać się z nią na wstępie znajomości. Trzy lata temu spotykała się z Kubą, didżejem poznanym w dyskotekce, który ciągle jej potakiwał. A na koniec wysyłał jej obraźliwe sms-y, nabijając się z jej piegów, nosa i uszu.

- Tak naprawdę takie sprawy nie za bardzo mnie pociągają. Lubię samą grę, kibiców i kibicowanie - starała się mu wytłumaczyć. - No i otoczkę, rzeczy niestereotypowe. Laurent Blanc całujący na szczęście Bartheza w głacę podczas mistrzostw świata, to dla mnie dzisiaj widok erotyczny. Miałam wtedy siedem lat i tak tego nie odbierałam, ale zapadło mi w pamięć.

- Wywiad z tobą mógłby być bardzo ciekawy. Szkoda, że nie robię już żadnych większych form, bo pewnie zacząłbym właśnie cię na to namawiać.

- Czemu nie przeprowadzasz wywiadów?

- Żadnych większych tekstów. Wolę nie opowiadać ze szczegółami, żeby nie psuć nastroju. W skrócie - miałem dość poważny konflikt w redakcji, o to, co napisałem i o to, czego nie napisałem, a szefowie chcieli. I tak dobrze, że mnie nie odstrzelili, tylko przenieśli do redagowania cudzych artykułów i pisanie krótkich notatek, głównie w necie.

- Lubisz swoją pracę?

- Ciągle tak. Nie trzeba rano wstawać, golić się, nie ma dress code. Może to śmiesznie brzmi, ale daje poczucie wolności. Teraz też dużo rzadziej zdarza się, żeby mnie nagle poderwali alarmem, jak w czasach, gdy byłem reporterem. O co chodzi z tą niemożnością chodzenia po zmroku?

- Smog. Po całym dniu ruchu samochodowego jest największy. - Tata żartował czasem, że na chrzcie powinni jej dać na drugie imię Przekora, ale wtedy jeszcze się nie zorientowali, bo otwierała usta tylko po to, żeby płakać albo domagać się jedzenia. Tatuś też nie do końca rozumiał kobiety, choć przez jakiś czas aż trzy miał w domu.

- Jasne. Nie wymiguję się od odwiezienia cię, po prostu jakoś dziwnie to zabrzmiało w ustach Bożeny.

- Napadli mnie. Taka sytuacja. - Opowiedziała mu dokładnie całe zajście, włącznie z dywagacjami policjantów, czy może mieć ono coś wspólnego z poprzedzającą je nocą, kiedy obcięto dłoń jakiemuś nastolatkowi w Skawinie. Zrobiło się jej słabo, ale gliniarze szybko wykluczyli związek; tam to były porachunki kibicowskie z użyciem maczet.

- Wiesz co, w twojej opowieści to wygląda na napad rabunkowy. "Zwykły" - czterema palcami zakreślił w powietrzu znak cudzysłowu. Mówisz, że on już sięgał do szyi, żeby cię dusić, kiedy spłoszył go ten staruszek. A przecież wcale nie uciekł od razu, tylko zabrał tę torebkę. Może właśnie o nią od początku mu chodziło - to po nią sięgnął, bo miałaś ją przewieszoną przez głowę. A ten drugi zabrał dużą torbę. Nie chce mi się wierzyć, żeby ktoś chciał zrobić krzywdę kobiecie, zamordować ją czy zgwałcić, w biały dzień, na ulicy. Raczej czyhaliby w ustronnym miejscu. A to, że te poprzednie poszkodowane znajdowano w Wiśle lub nad brzegiem? Tam zostały wyrzucone ciała, które mogły być przewiezione skądinąd. Nie można powiedzieć, że napadli cię nad rzeką, przecież z tamtego miejsca jest do niej jeszcze kilkaset metrów.

Agnieszka przyglądała mu się, gdy mówił. Nie był bardzo przystojny, twarz raczej pociągła, rysy trochę za ostre, wśród krótkich włosów pokazywały się kropki siwizny. Ale miał ładne ciemne oczy, nad nimi odrobinę dziewczęce, podwinięte rzęsy i pełne usta. No i pamiętała, że jest co najmniej

pięć centymetrów wyższy od niej. Mogłaby chodzić na wysokich obcasach. Odgoniła tę ostatnią myśl. Rozumiała, że stara się jej pomóc, przekonując ją do wersji stawiającej w innym świetle to co ją spotkało. Łatwiej było się pogodzić z myślą, że ktoś próbował (próbował? udało mu się!) ją okraść, a nie starał się pozbawić życia, czy zdrowia. I że stała się przypadkową ofiarą, a nie celem zaplanowanego zamachu. Brzmiało to sensownie.

Przypomniało jej się, jak na wykładach z "Walorów turystycznych Ameryki Północnej" doktor Rowiński masakrował amerykańską modę rozwiązywania wszelkich problemów z pomocą psychoanalitików, która zawitała również do Europy. "Najlepszą i darmową terapię są w stanie przeprowadzić najbliżsi; rodzina, przyjaciele. Tylko skąd ci durnie mają o tym wiedzieć, skoro od dziesiątek lat zajmują się rozluźnianiem więzi międzyludzkich, bo jakoby krępują indywidualność!".

Taką właśnie terapią było zachowanie Bożki, teraz Maćka, a wcześniej Nosowskiego, który siedząc za kierownicą swojego garbusa przemawiał z szorstką sympatią: "Nie przejmuj się tak, dostałaś tylko trochę po łbie, co zdarzało ci się już w przeszłości, dosłownie i w przenośni. Parę razy nawet za moją przyczyną. A nie widziałem, żebyś następnego dnia to przeżywała. Wiesz dlaczego uprawiasz wyczynowo sport? Bo masz we krwi ambicję i waleczność. Inaczej niż te pętaki na rowerach, które zwiały, gdy się okazało, że za chwilę stosunek sił będzie dwa do dwóch. Aga czuła, że trauma powoli ustępuje.

VII.

Akurat na wyświetlaczu pokazały się same zera, a cicho gadające radio obwieściło nadejście północy, kiedy Maciek przejechał pod czymś w rodzaju wiaty, jaką kończył się niski budynek Lobosu i stanął przed szlabanem. Odchylił podsufitkę, wyciągnął jakąś kartę i przez odsunięte okno przytknął do stojącego obok słupka. Metalowy drąg się uniósł.

- Chcesz wejść do środka?

- Czy ja wiem?

- Teraz będzie się portier czepiał, trzeba przejść korowody z wpisywaniem do książki gości. Może kiedyś za dnia to urządzimy, jeśli zechcesz obejrzyć redakcję?

- Luks.

Skręcił w prawo za szlabanem i zatrzymał się.

- Drzwi są po tamtej stronie, ale dyrektor administracyjny kazał dziennikarzom parkować tutaj, żeby przed głównym było miejsce dla klientów. Teraz niby pusto, ale jakoś mi się to zakodowało - tłumaczył coś, co Agnieszkę mało interesowało.

Zniknął za rogiem, a ona wyjęła komórkę i przeglądała posty na FB. Fazi wstawił selfie ze strzechą stojących, skołtunionych włosów i podpisem: "100% natural - mycie jajkiem i usztywnianie na cukrze".

"Mam pomysł na zarobek. Wyprowadzę Cię na Floriańską i będę kasował po pięć zeta za możliwość zrobienia zdjęcia z dzikusem odnalezionym w puszczy niepołomickiej" - skomentował jego kumpel, Paweł.

"A po dysze bierzcie za poczoхранie tej szczoty. Miliony monet" - dopisała Aga.

Maciek szybko wrócił.

- Skopiowałem sobie te pliki. Był jakiś kłopot z wysłaniem mailem, informatyk powiedział, że za ciężkie - pomachał jej przed nosem pendrive'm, schował go do kieszeni i odpalił silnik.

Kiedy stanęli przed pierwszymi światłami na Alei Pokoju, z prawej strony podjechał olbrzymi czarny samochód z paką z tyłu. Agnieszka podniosła wzrok, bo przesłonił światło lampy. I wytrzeszczyła oczy. Kierowca i facet siedzący za nim odsunęli szyby, jeden celował do niej z pistoletu drugi chyba z karabinu maszynowego.

- Pull over and stop! - krzyczeli łamaną angielszczyzną i pokazywali, żeby zjechać w Kordylewskiego i tam się zatrzymać.

- Patrz! - wrzasnęła do Maćka. Ten pochylił się wykrzywiając głowę w prawo, jeszcze gwałtowniej wyprostował i wcisnął gaz, a samochód wyskoczył do przodu na czerwonym. Przyspieszał, silnik wył. Na szczęście o tej porze nie było już ludzi, bo dwa następne przejścia przemknęły pod czerwoną luną. Prześladowcy, którzy zaskoczeni zostali w blokach - zblizali się.

- Tu niedaleko w prawo i zaraz w lewo będzie uliczka w osiedle! Może tam ich zgubimy! - krzyknęła do Maćka.

- Tam jest mnóstwo parkujących samochodów. Tłok jak diabli! Prędeż się rozwalimy, zanim zdążymy się schować. Mam pomysł! Na tych wąskich uliczkach na bulwarach będą mieli problemy. A już na pewno nas nie wyprzedzą - ściskając kurczowo kierownicę przejechał pod wiaduktem, hamując wpadł na pas skrętu w prawo i zaraz znowu zebrał się ciasno w prawo przed budynkiem z neonem "Mercedes".

Drogę ograniczały po bokach nasyp kolejowy i płoty, w tym najdłuższy: jednostki wojskowej. Maciek prowadził prosto, ale gdy dojechali do końca, ostro zarzuciło nimi na wirażu w prawo. Jakoś opanował samochód, z dwóch tras wybrał tę spacerową, wiodącą w dół nad samą rzekę. Przeleciały nad nimi świetliste smugi.

- Strzelają! - zrozumiała Aga.

- Ale to tylko na postrach. Gdyby chcieli to by trafili. Muszą mieć tłumiki, bo nic nie słyhać. - Podziwiała jego opanowanie.

Tyle razy widziała, jak policja jeździ po bulwarach, polując na pijących piwo, dwukrotnie sama musiała zapłacić stówkę. Teraz ich nie ma, gdy są potrzebni! - myślała ze złością.

Zachybotali się na wyjeździe pod mostem Kotlarskim, dalej zrobiło się jaśniej. Czytała w necie, że niedawno zrobili tu oświetlenie, nie zdążyła jeszcze przespacerować się tędy. Trasa poszerzała się, przy brzegu cumowały statki restauracyjno-kawiarniane. Zerknęła na prędkościomierz - wskazówka doszła do 150 km/h, a Maciek jechał zygzakiem, żeby bandyci nie mogli ich wyprzedzić. Zaraz wpadniemy do wody! W światłach samochodu zobaczyła przerażone twarze siedzącej na ławeczce pary, a pod Mostem Piłsudskiego faceta, który wchodził już na asfalt, ale gwałtownie rzucił się w tył.

- Tutaj, za łukiem będzie podjazd w górę - przypomniała sobie, kontrolując jednocześnie pozycję pogoni. Byli kilkanaście metrów za nimi.

- Ale wtedy zostanie mi kluczenie po Kazimierzu, gdzie jest tak samo gęsto od samochodów, jak na Dąbiu - patrzył na wprost, oczy miał wytrzeszczone i napięte gruzły na szczęce. - Pod Wawelem jest zwężenie; mam nadzieję, że my się tam przeciwniemy, a oni nie.

Teraz jechali jak po czteropasmówce. Maciek wciskał gaz do dechy, odruchowo odchylając się na oparcie fotela. Przewaga zmniejszyła się do kilku metrów. Naprzeciwko pędziły, zbliżające się do siebie, Wzgórze Wawelskie i brzeg Wisły.

Maciek cofnął prawą nogę, szarpnął lewarek zmiany biegów, wrzucając na luz i zwalniając. Gładko wjechali między barierkę, a zbrocze. Z tyłu usłyszała przeraźliwy pisk hamulców, a oślepiające ich dotąd światła zakołysały się na wszystkie strony.

Obejrzała się, tamci wycofywali do wylotu alejki, którą mogli przejechać górą, przy zamku. A oni znowu przyspieszyli obok tego ogromnego statku z dziwnym dziobem, który kiedyś wywołał aferę, cumując tu samowolnie. Jeszcze jeden most, pod górę i ostrożnie wjechali w przerwę w murze. Gonili ich zdziwione spojrzenia niedobitków z Lucky'ego, gdzie dawniej na zakończenie sezonu chodzący na piwo z Nosaczem (na co dzień jednak był skłonny opieprzyć cię nawet, gdy podczas postoju na stacji benzynowej stanęłaś za blisko półki z alkoholem). Knajpa udostępniła grilla, można było przynieść własną kiełbasę i upiec.

- Nie chcę pokazywać się na głównych ulicach, żeby się na nich nie natknąć. Pod moim blokiem przy skrzyżowaniu też może nie być bezpiecznie. Przenocujemy tutaj w hotelu - mówił nieco odprężony Maciej, wjeżdżając na parking podziemny.

- Ok - odpowiedziała Agnieszka, ale w miarę jak schodziło z niej napięcie, wylewały się łzy. - Nie rozumiem, co się dzieje, wszędzie coś na mnie czyha - szlochała, kryjąc twarz w dłoniach.

- Nie płacz. Mówiłem ci, że tamto to musiał być przypadek i teraz też pechowo znalazłaś się w moim towarzystwie - niezdarnie pogładził ją po plecach. - Nie o ciebie chodzi. To mnie dogoniła przeszłość sprzed dwunastu lat.

PAWEŁ FLESZAR